

## Stanęła naga...

Stanęła naga pod kioskiem naprzeciwko Wiedeńskiego Dworca. Milczała. Przyprószone dżdżem wieczorne światło skłębiło się w mętnej aureoli.

Ulica sprężyła się w spiesznym zbiegowisku. Otoczyli kołem, popychali się, tłoczyli. Pokazywali palcami: O! o!  
...

Panienki z porządných domów uciekały szybko [oglądając się]. Ze sznura zatrzymanych tramwajów biegli pędem.

Pan w futrze krzychał: „Proszę natychmiast okryć się lub wejść do bramy”. Milczała. Na błocie asfaltu walał się niepotrzebny, odrzucony strój z jaskrawych blaszek. Ktoś otyły orzekł: „Trzeba sprowadzić policję”.

Prostytutki piszczały: „Ty świnió bezwstydna, ty! [kurwo!]”.

Profesor starał się narzucić na nagie ramiona własne palto, lecz zaledwie dotknął się, odprysnął w tłum jak rażony prądem elektrycznym. Oburzenie rosło.

Chuda pani w binoklach pienila się: „Natychmiast do domu poprawczego. To wstyd, hańba. Coś podobnego...”.

[Milczała patrząc w górę.]

Policjant z trudem przecisnął się w tłoku. „Proszę ze mną do komisariatu. No! Słyszysz pani?”. I nagle: „Uuu!” — ręką oderwaną od nagiego ramienia trząsał jak pies przejechaną łapą.

Niepokój. Niektórzy uciekają. U reszty oburzenie przechodzi w wściekłość. „Co to za jedna? Co ona sobie myśli?”. Dorożkarz huknął z kozła: „Batem ją, psia jej mać, batem”. Furknęły kamienie uliczników. Szyby kiosku runęły na bruk. Młodzieniec nerwowy [student filozofii] wołał głosem pełnym przekonania: „Panowie! proszę się rozejść. To jakaś mistyfikacja. To niemożliwe. Ja dowiodę naukowo, że ta pani wcale nie istnieje. Na-u-ko-wo!”. Nikt go nie słuchał. Tłum wył z oburzenia, pieniał się. „Zatłuc ją”, „Brać”, „Do więzienia”, „Bić ją”.

Stała nieruchoma.

Koło spręza się, zaciska. Runęli! Spadły laski, obcasy, kamienie, parasolki, szpilki od kapeluszy. Pluli, charkali, wyli — w natłoku runął kiosk. Tłusty kelner z knajpy naprzeciwko wylał kubeł pomoy.

Znieruchomieli w zdumieniu! Cofają się.

Na brudnym, mokrym asfalcie przy zgniecionym kiosku — pusto.

— Ludzie! ratujcie się.

Lewa stopa bosa zgruchotała dworzec. Za sekundę następny krok.

Głową sięgała gwiazd.

## Spotykam go często...

Spotykam go często. Kląniamy się obaj poważnie i idziemy każdy w swoją stronę. Nie oglądam się, bo wiem, że on zatrzymał się na chodniku i patrzy na mnie, dopóki mu nie zniknę z oczu. Czuję na plecach jego spokojny, zimny, stalowy wzrok i wydaje mi się, że organizm mój skupia w sobie kilkadziesiąt elektrycznych przewodników. Podnoszę wówczas do góry kołnierz zrudziałego palta i przyspieszam kroku lub udaję, że chcę wskoczyć do mijającego tramwaju. Gdy czuję, że już mnie nie widzi, mam złudzenie chwilowej ulgi. Dziś usiadł przy moim stoliku w kawiarni. Lekko skłonił się (bo mimo wszystko nie znamy się osobiście) i wyjąwszy z kieszeni kilka gazet, począł je czytać z zainteresowaniem, jak mi się zdawało, udanym. Znacząco odsunąłem się z krzesłem i chciałem dalej pisać zaczęłą powieść.

Po chwili jednak przekonałem się, że to już jest niemożliwe. W mózg zaczęło mi uderzać tysiąc maleńkich młoteczków, jakby tysiąc aparatów telegraficznych, wystukujących chaotycznie niepojęte treści: Ten-ten-ten-pan-ten-ten-pan-zna-zna-mnie-zna-mnie-zna-patry-patry-patry-tak-tak,tak-tak-czyta-gazety-gazety-...

No dobrze, u licha, ale cóż mnie to wreszcie obchodzi, że ktoś, kto zna mnie z widzenia, usiadł przy mnie w kawiarni i czyta gazety? Rzecz całkowicie nieskomplikowana... W ogóle cała ta historia zaczynała mi się wydawać śmieszna...

Tylko to fatalne stukanie telegraficznych młoteczków w mózgu?... Schowałem do kieszeni zamazane kartki rękopisu i postanowiłem obserwować swego sąsiada. Miękki, czarny kapelusz z szerokim rondem. Twarde niesubtelne rysy przypominały niewykończony szkic rzeźbiarski. Jedyne usta o miękkim, delikatnym rysunku nasuwały wspomnienie spotkanego gdzieś w krzewach pomarańczowych gipsowego fauna.

Gdzie ja go pierwszy raz widziałem? Dawno - bardzo dawno... Majaczy się w myśli nikłe, bolesne światło stajennej latarni, przytłumiony śniegiem tupot kilkunastu par filcowych butów, zasłonięte chustkami dwie twarze. Jeden wysoki z bujną, czarną czupryną szamoce się. Chustka spada. Kilka uderzeń kolbami. Salwa. Nie, to nie on, ale to były jego włosy. A ten ogromny cień, co padał z południa na północ przez całą drogę, gdym szedł sam od Zawratu do Morskiego?

Czy to twoja, wszechwładna, krusząca wszechświat jak dynamit i urabiająca go jak воск – czy to twoja myśl, doktorze Bystramie z Krakowa[1]? Och, jakże daleko musiałem przed nią uciekać...

Sąsiad mój poruszył się lekko, spoglądając na mnie zza gazety. Zwróciłem wzrok w inną stronę. Nerwowo zadzwoniłem w szklankę. Płacić.

Nieznajomy bębnił po stole palcami [lewej ręki]. Zdawało mi się, że chce coś do mnie powiedzieć. Drżały mi ręce, gdym wyjmowałem z portfela pieniądze i przyjmowałem od kelnera resztę.

Gdy podniosłem się z krzesła, ten dziwny człowiek patrzył się na mnie i poruszał swymi delikatnymi wargami, jak gdyby coś szeptał. Zawahałem się, stawiając pierwszy krok. Czulem, że powinienem coś powiedzieć. Lekko skinąłem głową. Nieznajomy odpowiedział takim samym ukłonem, odkładając gazetę. Wyszedłem.

Była godzina zbyt późna, aby pójść do teatru, i zbyt wczesna, aby pójść do domu. Szedłem szybko Nowym Światem, nie zdając sobie sprawy dokąd. Myśl moja wróciła znów do zaczętej powieści, której rękopis miałem w lewej kieszeni kurtki - był to zbiór nastrojów związanych z przykrym, nerwowym podnieceniem i bezsennością, prześladowającymi mnie od kilku tygodni. Szybki mój chód i zrudziałe palto pozwalały mi całkowicie wejść w tło ulicy - nie zaczepiały mię nawet kokoty. Zatrzymałem się przez chwilę przy nalepionym na ścianie egzemplarzu jakiejś gazety: Rada Ligi Narodów zbierze się jutro, to jest we czwartek o godzinie... – Najmocniej przepraszam – (potrąciłem kogoś w futrze) - doprawdy niechący, proszę wybaczyć. - Świetlne ogłoszenia na dachu jednego z domów zmieniały co chwila najlepszą pastę do zębów na jakieś gumowe podeszwy i ogłoszenia o sklepach kupna i sprzedaży brylantów.

Bezmyślnie dałem się pociągnąć fali tłumy płynącej do bramy kabaretu. Prawie ochrypla śpiewaczka kończyła właśnie któreś tam z rzędu bis. <Ugięły> się grube, niekształtne łydki w różowych pończochach. Brawo, brawo - naturalnie. Teraz pauza. Warczy wentylator. Dwie szwaczki lub panny sklepowe magazynu konfekcji damskiej udzielają sobie wrażeń: To śliczne

było, prawda? te spotkanie na plaży? A ty byłaś na *Amerykance*[2]? Powiadam ci cudowne, cudowne. Ja byłam dwa razy z Hieńkiem... Ceratowe kapelusiki, „angielskie” palta noszą na sobie wszystkie cechy ubóstwa i chęci podobania się. Druga część. Tak zwana dramatyczna. Dwa wiarołomstwa, jedno morderstwo i samobójstwo. Teraz operetka. Jest tu coś płciowego w powietrzu - nawet muzyka ma jakieś banalne zaokrąglenia jak kształty otyłej kobiety...

Znalazłem nagle rozwiązanie problemu, nad którym myślałem od kilku tygodni: bohater pisanej przeze mnie powieści (dziecię wieku - człowiek staczający się ku upadkowi) w ostatniej fazie swej dekadencji będzie pisał libretta dla podlejszych kabaretów i wygłaszał przed każdym programem „ideowe” wstępy. Wychodząc z bramy, obejrzałem się na wszystkie strony, czy on na mnie gdzieś nie czeka. Nie. Po kilku minutach byłem w domu. Na stole zastałem kartkę tej treści: „Jutro - godzina 11. Obecność konieczna. Miejsce to samo. Z.”.

Na 5 minut przed 11 szedłem ulicą Wolność, szukając znajomej mi bramy.

[1] Najprawdopodobniej chodzi o Władysława Stryjeńskiego (1889–1956), psychiatrę i neurologa, pochodzącego z Krakowa (związany z Krajowym Zakładem dla Umysłowo Chorych w Kobierzynie), który pod pseudonimem Bystram jako żołnierz-lekarz służył w Legionach Polskich (w latach 1915–1916 jako lekarz 3. baonu 1 pp I Brygady, a 1918–1920 jako lekarz 4 pp. 2 Dywizji); zajmował się głównie stanami depresyjnymi, przedłużającym się przygnębieniem, schizofrenią.

[2] *Amerykanka* – popularna operetka z muzyką Zygmunta Wiehlera i librettem Andrzeja Własta, wystawiana od 1921 w Qui Pro Quo (debiut sceniczny Eugeniusza Bodo); w sezonie 1922/23 wystawiana w „Nowościach”.

Fragmety książki *Stanęła naga...* z niepublikowanymi utworami Władysława Broniewskiego, która w opracowaniu dr Wioletty Bojdy ukazała się nakładem Wydawnictwa Krytyki Politycznej.